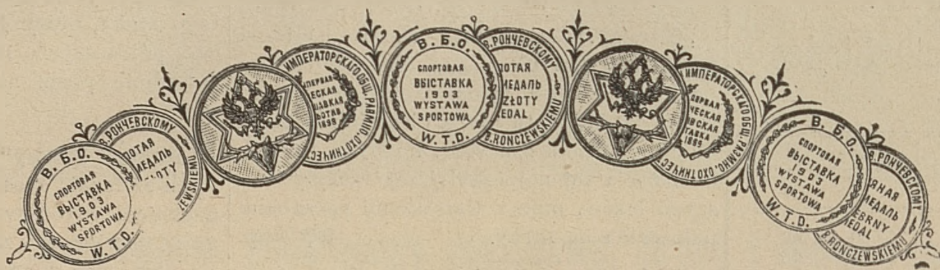
Nr. 3. Warszawa, d. 1 Lutego 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

dawniej **B. RONCZEWSKI**

WARSZAWA Królewska Nr. 17, Telefon Nr. 1917.

POLECA:

GOTOWE ŁADUNKI

nabite prochem cesarskim i hartśrótem

za 100 sztuk rb. 6.

nabite prochem bezdymnym SOKÓŁ i hartśrótem

za 100 sztuk rb. 8.

oraz oryginalne ładunki ELEY'A' nabite prochem E. C.

i niemieckie nabite prochem **Walsrode**

PO CENACH CENNIKA.

Powyższe ładunki we wszystkich kalibrach są na składzie gotowe, nabite hartśrótem kuropatwim zajęczym.

Bronie bezkurkowe z eżektorami i bez, fabryki LEBEAU-COURALLY wykwintnej roboty i maksymalnych strzałów we wszystkich gatunkach podług fabrycznego katalogu.

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

W lutym wolno polować na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze) i na ptactwo przelotne, o ile się ono zjawi; do 1 (14) lutego na jelenie (byki), a do 15/28 lutego na zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy i dropie.

Lunacya w lutym.

Nów d. 2 o g. 10 rano.
Pierw. kw. d. 9 g. 5 rano.

Wschód i Zachód Słońca

w lutym.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	7	43	4	46
2	7	41	4	48
3	7	39	4	50
4	7	37	4	52
5	7	35	4	54
6	7	33	4	55
7	7	30	4	67
8	7	28	4	59
9	7	26	5	2
10	7	24	5	4
11	7	22	5	7
12	7	20	5	9
13	7	18	5	11
14	7	17	5	13
15	7	13	5	14

DZIEŁA MYŚLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

„Sarna". Monografia sarny, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Zając pospolity". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. pr. myśl. Monografia ta wyczerpująco przedstawia tego najpospolitszego na naszych polach zwierza, stanowiącego najważniejszy objekt łowiectwa naszego. **70 kop.**

„Hodowca a myśliwy" przez *Ernesta hr. Sylwa Tarauca*. Autor cieszy się opinią wybornego znawcy rzeczy myśliwskich, zarówno w Czechach, jak w całych Niemczech. Podręcznik ten winien się znajdować w rękach każdego prawdziwego myśliwego. **1 rb. 20 kop.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra *O. Hilfreicha*. Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

„Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu" — Cejlon — przez *Józefa hr. Potockiego*. Wszystkie uwagi nasze zamieszczane przy poprzedniem dziele, stosują się w całości i do tych notatek. **75 kop**

„Notatki myśliwskie z Indyj" przez *Józefa hr. Potockiego*. Dzieło to, pełne najwyższego interesu dla każdego sportsmena-myśliwego, wyszło przed kilku laty nakładem autora w wydaniu ilustrowanem i tak wykwintnem, jakie tylko spotkać można wśród najdroższych wydawnictw zagranicznych. Wydanie to, pomimo wysokiej ceny, zupełnie wyczerpane zostało. Ażeby uprzystępnić szerszemu kołu naszych myśliwych zapoznanie się z cennym tekstem tego dzieła, wypuszczamy je w wydaniu taniem. **75 kop.**

„Sztuka strzelania i polowania" przez *Karola Lancaster'a*. Dziełko to napisane przez wybornego znawcę broni, jako pierwszorzędnego puszkarza wszechświatowej sławy, zawiera niezmiernie cenne wskazówki teoretyczne i praktyczne dla każdego strzelca. Jest to cała teorya strzelania, którą każdy myśliwy przyswoić sobie winien koniecznie. **80 kop.**

„Kuropatwa szara, czyli pospolita". Monografia, napisana przez *Juliana Biesiekierskiego*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop**

„Bażant łowny" przez *C. Cronau*. Autor niemiecki, cieszący się największem uznaniem wśród swoich ziomków, a którego zdanie cenią i zagranicą, jako jednego z najlepszych znawców aklimatyzacyi i hodowli ptactwa łownego, a bażanta w szczególności,—kreśli w tem dziele monografię bażanta, jego pokrewnych gatunków, historyę hodowli bażanta, oraz wskazuje sposoby hodowli tego ptaka i zakładania bażantarni. Wykład popularny, ale gruntowny. **1 rb. 50 kop.**

„Żywienie jeleni i sarn" napisał *Dr. Max Neumeister*, dyrektor Królewsko-saskiej akademii leśnej. Dziełko to wskazuje, jak i kiedy żywić należy swoje zwierzostany, aby dochować się licznych i pięknych egzemplarzy. **60 kop.**

„Hodowla bażantów" przez *Goedde*. Dzieło to, uzupełnione i poprawione przez królewskiego bażantarnika z Fürstenwaldu na Śląsku, Staffel'a, jest dotychczas uważane za najlepszy podręcznik w hodowli bażantów w Niemczech. Liczne rysunki objaśniają tekst dzieła. **1 rb.**

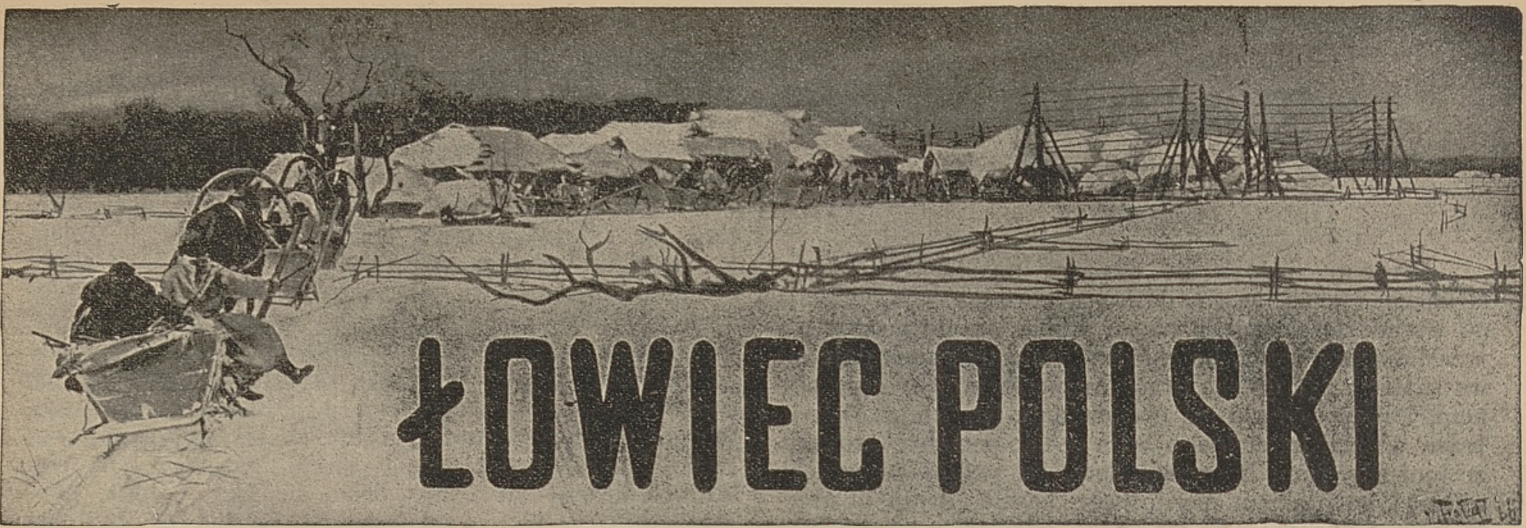
„Żelaza i pułapki myśliwskie" przez *Rudolfa Webera*, z podobiznami wszelkiego rodzaju żelaz i pułapek. Dziełko to obznajmia dokładnie ze sposobami użycia żelaz i pułapek w celu niszczenia drapieżników, zarówno czworonogich, jak i skrzydlatych. Cieszy się ono w Niemczech ogromnem rozpowszechnieniem, jako napisane przez znanego specyalistę i wynalazcę rozlicznych samołówek w celach myśliwskich. **75 kop.**

„Myślistwo z ogary" przez *Jana hr. Ostroroga*, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

„Myśliwy, jako preparator i kolekcyonista przez *Ernesta v. Dombrowskiego*. Podręcznik dla pragnących obznajmić się ze sposobami preparowania trofeów myśliwskich. **50 kop.**

„Ornitologia łowiecka" przez *Jana Sztolcmana*. Jest to zszeregowanie całej naszej fauny pierzastej, łowieckiej, wyszczególniające i klasyfikujące nasze ptactwo łowne i szkodne. **80 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 213.

Nr. 3.	Warszawa, d. 1 lutego 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.



PRZY KSIĘŻYCU.

ŁOŚ.

(Ciąg dalszy).

Wróćmy jednak do naszych myśliwych, którzy, strudzeni i senni, lecz w doskonałych humorach, wracają po wschodzie słońca do obozu, cisnąc się do wesoło potrzaskającego ognia, bo chłodny, jesienny ranek daje się we znaki; z rąk do rąk krąży manierka z ożywczym płynem, i rozpoczynają się opowiadania bez końca, jak to jeden widział kapitalnego byka o tak potężnych rogach, że możnaby nimi bronować, lecz, ku swojej desperacyi, spłoszył go atakiem nieznośnego kaszlu, drugi postrzelił łosia, i doczekawszy się świtu, odnalazł go już nieżywego po krwawym tropie, a trzeci naprózno noc całą wędrował po lesie, nie słyszawszy nawet głosu łosiowego. Gwar po trochu ucicha i sen zaczyna sklejać powieki znużonych łowców, że coraz to głośniejsze chrapanie dolatuje z głębi szałasu, gdzie zapobiegliwi leśnicy zawczasu przygotowali miękkie posłanie z siana; tylko wytrwalsi i bardziej zajadli myśliwi, zapominając, że trzeba nabrać świeżych sił przed następną nocą, idą wabić jarząbki, lub podkradać się do żerujących na osinach głuszców.

W końcu września byki, wycieńczone trudami rui i wychudzone do ostatnich granic, zaszywają się w niedostępne mokradła, gojąc rany, otrzymane w krwawych starciach, i wygładzając zapadłe boki; główne ich pożywienie składa się wówczas z kory i młodych pędów łozy. Łosze z młodemi, opuszczone przez mężów i ojców, pozostają na dawnych miejscach. Dopiero w połowie lub przy końcu listopada, gdy wypadną pierwsze śniegi i błota zamarzną, łączą się łosie w stada i zaczynają wieść koczujące życie. Stada te w niedalekiej jeszcze przeszłości liczyły po kilkanaście głów, dziś rzadko się zdarza spotkać więcej, niż 5 — 6 sztuk w jednem stadzie. Najczęściej składa się stado z trzech lub czterech sztuk, t. j. łosia, łoszy i jednego lub dwóch łoszuków, do nich jednakże przyłącza się czasem drugi łoś lub jałowa łosza. Nie znaczy to jednak, aby się w tym czasie nie spotykało także pojedyńczych osobników. Przez jakiś czas stado trzyma się miejscowości, w której odbywała się ruja, lecz wraz z postępem zimy i uszczupleniem pożywienia, zaczyna odbywać coraz dalsze peregrynacye w poszukiwaniu żeru, odchodząc niekiedy bardzo daleko od miejsc rodzinnych. Są okolice, gdzie łosie stale się trzymają przez całą wiosnę, lato i jesień, a w grudniu wynoszą się co do jednego na 2 — 3 zimowe miesiące; bywa to tam, gdzie brak poręb lub młodych zagajników, bo w starym, wysokopiennym lesie, łoś zimową porą niewiele się pożywi. Jedynem prawie pożywieniem jego o tej porze są pędy sosnowe, to też straszne czyni on spustoszenia w kulturach sosnowych, gdy się do nich dostanie, obcinając, jak nożycami, wierzchołki młodych drzewek. Paszę tę urozmaica kora niektórych drzew, jak osiny, dębu, świerku, a łosie, mieszkające w pobliżu osad ludzkich, wychodzą na pola i odgrzebują z pod śniegu oziminy; rzepak jest dla nich przysmakiem, i raz zakosztowawszy jego soczystych liści, regularnie codzień o zmierzchu wychodzą nań paść się.

Zimą używają myśliwi kilku sposobów polowania na łosie; najbardziej praktykowane z nich są: polowanie z naganką, polowanie z psami, tropienie w ścisłem tego słowa znaczeniu i podjazd do żerujących na polach zwierząt. Przejrzymy je pokrótce wszystkie po kolei. Mówiąc o zimowem polowaniu, będę miał na uwadze jedynie pierwsze miesiące zimy, t. j. koniec listopada i grudzień, gdyż, po pierwsze, z dniem 1-ym stycznia rozpoczyna się czas ochronny, powtóre zaś wraz z końcem roku kalendarzowego, większość łosi traci rogi, a żaden prawdziwy i szanujący się myśliwy nie będzie strzelał do pozbawionego swej najpiękniejszej ozdoby króla puszczy. Najczęściej poluje się na łosie zimową porą z naganką, aby jednak polowanie to miało pewne widoki powodzenia, musi być poprzedzone przez dokładne otropienie zwierza.

Ślad łosia jest wązki i zaostrzony ku przodowi i kształtem przypomina serce, zwrócone naprzód ostrym końcem; od bydlęcego różni się tem, że boki ma nie zaokrąglone, a równo ścięte, schodzące się pod bardzo ostrym kątem; racice stykają się prawie ze sobą, odgraniczone wąziutką szparką, a rozchodzą się szerzej tyl-

---

CONTO „P."

PSIA HUMORESKA

A. WACLAWIKA.

(Z czeskiego)

(Dokończenie).

Doktór pośpiesznie wybiegł na ulicę i wnet rozlegały się przeróżne, najpospolitsze nazwy psów, w różnych punktach, z przerwami.

— Czy pan szuka swego psa? — zapytywała kobieta, która przez jakiś czas przysłuchiwała się wołaniom.

— Tak — odrzekł doktór.

— Czy to był, może, rozczochrany szpic o głowie rattlera?

— Tak — wykrzyknął wzruszony właściciel uciekiniera.

— O la Boga, przecież tego psa hycel tylko co złapał, ponieważ nie miał obroży, ani znaczka; o, tam jeszcze jedzie. — Wskazała w kierunku ulicy, gdzie jeszcze widać było zielony wózek, szybko się oddalający.

Przez chwilę doktór stał, jak oszołomiony.

— No, nie warto się martwić — pocieszała go kobieta — niewielka tam szkoda takiego marnego kundla.

Doktór już nie dosłyszał tej uwagi bezlitosnej. Spostrzegłszy dorożkę, wskoczył do niej i polecił woźnicy śpieszyć jaknajbardziej, żeby dogonić wóz czyściciela; dorożkarzowi udało się też dotrzeć do zielonego wozu, a gdy, po dłuższych rokowaniach, doktór powrócił ze zwierzęciem do domu, zapisał na Conto „P." liczbę 20.

Nauczona doświadczeniem, pani Berta zaproponowała przedewszystkiem, żeby psu nadać jakieś imię. Po dłuższej dyskusyi, zgodzono się na „Nygusik". Z wyjątkiem pozycyi 5 koron, jako odszkodowania za to, że Nygusik atakował chłopca, którego ojciec groził sprawą sądową, — Conto P. przez trzy dni z rzędu nie zostało obciążone żadnym wydatkiem.

Czwartego dnia Nygusik znowu zniknął nagle; ponieważ miał i obrożę i znaczek, przeto tym razem musiała być wykluczona interwencya władzy w postaci hycla.

— Musimy dać ogłoszenie do gazety i wyznaczyć nagrodę znalazcy — osądziła szybko się oryentująca pani Berta.

Skuteczność ogłoszenia przeszła wszelkie oczekiwania. Przez trzy dni z rzędu zjawiali się mężczyźni, kobiety i dzieci, przyprowadzając psy wszelkiej rasy, z niewinnem zapytaniem, czy to jest pies poszukiwany. Doktór nigdy nie przypuszczał, że wogóle tyle psów się znajduje w mieście. Lecz Nygusika wśród nich nie odkryto. Na trzeci dzień późnym wieczorem zjawił się wesoły i uśmiechnięty chłopczyk, który w imieniu jakiegoś pana zapytywał, jaka jest wysokość nagrody obiecanej; otrzymawszy odpowiedź, że państwo się skłaniają do udzielenia 10 koron, powrócił z oświadczeniem, iż,

ko u cielnej łoszy lub rannego zwierzęcia. Zauważyć należy, że łoś rzadko kiedy przechodzi w galop, a zwykłem jego tempem podczas ucieczki jest kłus; tylko bardzo nastraszony robi zazwyczaj kilka skoków, przechodząc jednak natychmiast w wyciągnętego kłusa, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden rysak. Długie swe nogi podnosi on tak wysoko, że tylko w bardzo głębokim śniegu dojrzeć można podwójne bruzdki, ciągnące się między poszczególnymi śladami, a pozostawione końcami racic. Będąc w stadzie, łosie idą gęsiego, nie mają jednak tego zwyczaju, co wilki, żeby stąpać ślad w ślad. Prowadzi stado zwykle stary byk, zamyka zaś pochód łosza. Zaczynając żerować, łosie rozchodzą się i idą mniej więcej równolegle w pewnej od siebie odległości, skubiąc młode, przesycone żywicą, pędy sosenek i obgryzając korę z osinek i świerczków. Gdy się rano natrafi na świeże żerowisko, można być pewnym, że łosie są w pobliżu, żerując bowiem, posuwają się one naprzód powoli i ciągle kołują, wracając częstokroć na swój dawny ślad; obchodzi się wtedy wokoło pewną przestrzeń lasu, w której przypuszczalnie są łosie, i jeżeli ślad nie wyszedł, można zaczynać polowanie. Najlepiej jest tropić we dwóch, rozchodząc się z chwilą, gdy ślad wskaże, że łosie poszły wolniej i zaczęły żerować, a schodząc się następnie w pewnem umówionem miejscu. Gdy się okaże, że ślad wyszedł z koła, postępuje się w dalszym ciągu w ten sam sposób, dopóki łosie nie znajdą się wewnątrz koła; wtedy posyła się po zgromadzoną gdzieś przy leśniczówce nagankę, a najdepiej obeznany z miejscowością leśnik, rozstawia myśliwych. Naganka powinna się posuwać naprzód wolno i równo, postukując kijami po drzewach i hukając, lecz niezbyt głośno, w przeciwnym bowiem razie łosie często przerywają się przez nagankę lub wychodzą flankami. Aby temu zapobiedz, niektórzy zawieszają na drzewach na wysokości człowieka sznur z przyczepionymi kawałkami kolorowej materyi, które, poruszając się na wietrze, odstraszają zwierzynę w głąb miotu, gdyby się chciała wymknąć flankami lub miejscami, niezajętemi przez myśliwych. Sposób ten jest godnym polecenia przy małej ilości strzelców, a także tam, gdzie nie są dokładnie znane przesmyki zwierza.

(C. d. n.). *J. Woyniłowicz.*

WYPRAWA MYŚLIWSKA

do krainy Massaï.

Przez

Edwarda Troianowskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VI.

Przyroda kraju. — Szczęśliwy strzał. — Wizyta doktora, który nam przywozi gazety.

5 marca. Dziś rano zdrowie barona B. znacznie się polepszyło, całą jednakże noc przepędził w malignie. Około południa, gdy towarzysz mój spał, by się rozerwać troszkę, wyszedłem na polowanie próbować szczęścia. Po kilku strzałach nieudanych do „Empalla“ zeszedłem stado zebr na odległość około 100 m.; strzeliłem, celując do najbliżej stojącej sztuki, która mi się wydawała dobrze wyrośniętym samcem. Po strzale zebry pomknęły całem stadem w największym popłochu, lecz wkrótce jedna z nich padła nieżywa, a w chwilę później druga. Gdym doszedł je, były już zupełnie martwe. Zadziwiającą jest penetracya i siła kuli tak niewielkiej broni, jakim jest 8 mm. Mauser. Obiedwie bowiem zebry zginęły od jednego strzału, który je przeszedł na wylot.

Po strzale tym, mając już niezły zapas doskonałego mięsa dla ludzi i siebie, mimo wczesnej pory, wróciłem do obozu, gdzie towarzysza mego zastałem siedzącego pod szopą, zbudowaną z trawy i liści palmowych, do której kazał się przenieść, czując się znacznie lepiej. Chłodniej tam i przewiewniej, niż w miocie. Jest to także nasza jadalnia i salon do przyjęć, w którym, jak dotąd, przyjmujemy samych siebie.

6 marca. Pierwszy brzask zastał mnie już dziś gotowego do drogi. Strzelcy moi i kilku ludzi, których zwykle z sobą zabieram, idąc na całodzienną wyprawę, przeciągając się i drapiąc, na wpół śpiąc jeszcze, szykowali się, zabierając z sobą wodę dla mnie i koszyk ze śniadaniem, dla siebie mięso pieczone, które się niesie

---

ze względu na szlachetną rasę zwierzęcia, nagroda to za nizka. Usłyszawszy taką opinię, doktór spojrzał tryumfująco na swą małżonkę, poczem zgodził się na podwójne honoraryum; po upływie dziesięciu minut Nygusik powrócił do swoich, a Conto P. zostało obciążone 20 koronami.

Kilka dni ubiegło bez wypadku; Nygusik skorzystał z czasu, żeby wystudyować stosunki lokalne, a specyalnie kuchenne i śpiżarniane, a wynikiem tych studyów było, niewyjaśnione przez czas długi, znikanie pieczeni, wędlin i sera. Gdy pani Berta, która miała już w silnem podejrzeniu strażaka, wielbiciela kucharki, przyłapała pewnego wieczoru Nygusika na transportowaniu sporej szynki, — studya kulinarne zwierzątka uległy przerwie. Zostało mu teraz tylko przymilać się państwu, co też udało się w zupełności Nygusikowi; odtąd stał się nieodstępnym towarzyszem obojga małżonków, wybierając się z nimi na wszystkie spacery. Gdy więc postanowili urządzić wycieczkę do krewnych, zamieszkałych w okolicy podmiejskiej, to się już samo przez się rozumiało, że Nygusik musi im towarzyszyć w tej podróży.

Zamiarowi temu przeszkodziła jednak zaraz na wstępie ta okoliczność, że konduktor kolei miejskiej oświadczył kategorycznie, iż Nygusik nie jest pieskiem pokojowym, którego można trzymać na kolanach, a przeto nie można go wpuścić do wagonu.

— Niech państwo każą psu biedz obok, nic mu to nie zaszkodzi — doradzał na pocieszenie jakiś pan stary. Propozycyę uznano za odpowiednią, doktór pozostał na platformie, wagon potoczył się dalej, pies naszczekiwał, a pasażerowie bawili się, interesując się żywo losem Nygusika. Początkowo też i on zdawał się bawić tym niezwykłym wypadkiem. Wyprzedzał ochoczo wagon, czekając, aż ten go dogoni, poczem znowu umyślnie pozostawał w tyle, aby na gwizdnięcie swego pana rzucić się naprzód; biegał i wracał, robiąc w ten sposób trzy razy więcej drogi, aniżeli kolej miejska na tej samej przestrzeni. Skutki nie dały na siebie długo czekać; zaledwie zdążyli przebyć pół drogi, Nygusik zaczął ujawniać wyraźne ślady zmęczenia, — nagle też zatrzymał się, pozostawał potem coraz więcej w tyle, i ani gwizdanie, ani przywoływanie nie mogły już go zmusić do towarzyszenia wagonowi.

— Czy pan nie widzi, że pies już tchu złapać nie może — zaczepił nagle jakiś pan doktora—, przecież to męczarnia dla zwierzęcia, a ja jestem członkiem Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Pozostali pasażerowie zapomnieli też odrazu, że dopiero niedawno tak się świetnie bawili kosztem Nygusika. I oni również patrzyli teraz złowrogo na doktora. Powszechny pomruk oburzenia zwrócił się przeciw niemu, wszyscy przyznawali racyę panu opiekunowi, który groził pociągnięciem do odpowiedzialności sądowej doktora za znęcanie się nad zwierzęciem.

Właściciel Nygusika porozumiał się milczkiem z małżonką i oboje wysiedli z wagonu. Ponieważ już niestarczyłoby czasu, żeby zdążyć na dworzec kolejowy przed odejściem pociągu, przeto doktór musiał wynająć jednokonkę; logiczną więc rzeczą było księgowanie kosztów na Conto P.

Podróż i pobyt na wsi przeszły w niezamąconym spokoju i już było dosyć późno, gdy zaczęto myśleć o po-

pocięte w długie paski i obwinięte w około w szczapki drzewa. Na wierzchołkach drzew, otaczających obóz, rozsiadły się całe stada sępów i marabutów, jednego z nich zastrzeliłem i kazałem odnieść do obozu.

Za cel dzisiejszej mej wyprawy obrałem sobie kierunek, w którym strzelałem przed paru dniami do żyrafy, i na czele swych ludzi zeszedłem w dolinę, jaką stanowi łożysko Athy River.

Słońce zaledwie weszło, i w cudnym tym parku tysiące ptactwa, świegocąc, zrywa się z przed nóg naszych. Przeróżnych barw, niektóre z nich nie większe od motyli, przelatują całemi stadami. Między innymi, jest tu jeden gatunek, u którego samczyk ma 3 — 4 razy dłuższy ogonek od samego siebie. Ogonek ten stanowią dwa piórka, zwieszające się ku dołowi, i zdaje się, bardzo utrudniają lot jego właściciela. Na wierzchołkach drzew siedzą dzioborożce o potężnych dziobach, monotonnym wabiąc się głosem. Spore stado małp przebiegło nam drogę, i ukrywszy się w zaroślach przybrzeżnych i czując się już zupełnie bezpiecznemi, poczęły nam srodze wymyślać.

W niektórych miejscach, mimo żeśmy ciągle postępowali ścieżkami wydeptanemi przez hipopotany, trzeba się było schylać, torując drogę nożem wśród zwoi lian o białem, przepysznem polnem kwieciu, lub całych pęków powoi, zwieszających się w barwnych festonach.

Tak podziwiając ten cudny świat, nie spotykając nigdzie grubszej zwierzyny, uszliśmy spory szmat drogi. Dzień stawał się znojnym i trzeba było pomyśleć o wyszukaniu dobrego miejsca dla odpoczynku, w tym więc celu skręciliśmy w lewo, i pnąc się pod górę, z zamiarem wydostania się na step otwarty, tu bowiem w dole, z powodu zapachu kwiatów i braku przewiewu powietrze stawało się wprost nieznośnem do oddychania.

Z karabinem, przewieszonym przez ramię, dobywając resztek sił, wyprzedziwszy swych ludzi, wspinałem się na stromą górę; tuż za mną postępował jeden tylko Somalis, ale bardzo zacny chłopiec. Byłem już prawie u szczytu i przechodziłem tuż około kępy gęstych zarośli, gdy w nich nagle z bajecznym trzaskiem i charakterystycznem sapaniem nosorożcowem, poczęło się pośrodku kotłować. Mój Somalis dał w jednej chwili susa w tył, ja zaś, pochwyciwszy karabin, zmieniłem czemprędzej pierwszą kulę, którą miałem z ołowianym czubkiem całkowicie opancerzoną, i przykucnąwszy, ukryłem się troszkę za kamieniem. W tej samej chwili olbrzymie, szare cielsko wyłoniło się z zarośli, wietrząc i szukając nas wzrokiem.

W pierwszej chwili nosorożec stanął do mnie bokiem; zmierzyłem się, lecz w tymże samym momencie zwierz, zoczywszy mnie, zwrócił się frontem i ruszył w mym kierunku.

Nie było sekundy do stracenia, lada bowiem chwila, a można już było nigdy do obozu nie wrócić. Śmierć zajrzała mi w oczy, mimo to, z całym spokojem i rozwagą, do rozwścieczonego zwierza na 15 kroków strzeliłem, celując w samą głowę. Rezultat strzału był piorunującym, — potężne cielsko zachwiało się, i zrobiwszy jeszcze kilka daremnych wysiłków, nosorożec runął na ziemię.

By upewnić się o śmierci, podszedłem parę kroków i raz jeszcze strzeliłem.

Nie było końca radości wśród ludzi moich, którzy nad stygnącemi zwłokami wykonali taniec wojenny, a Ali, ten, który przed chwilą, na widok wynurzającego się z gąszczu nosorożca, tak po bohatersku drapnął, usadowił się obecnie na grzbiecie jego i począł śpiewać, nadzwyczajne wyśpiewując pieśni.

Zabita sztuka okazała się dobrze wyrośniętym samcem, o średniej wielkości rogach (19 cali i 10 cali). Z jednej strony na boku miał ogromną, ropiącą ranę, otoczoną przez setki kleszczy, które biedakowi nie źle musiały dokuczać i może dlatego tak wojowniczo był usposobionym. Prócz tego, ku wielkiemu zdziwieniu, zauważyłem zupełny brak jednego ucha i kawałka drugiego. Blizny jednakże te były zupełnie zagojone; przypuszczać można, że stracił je w młodości.

O kilkanaście kroków od zabitego nosorożca kazałem sobie przygotować śniadanie, tak dobrze zasłużone. Teraz dopiero, leżąc w cieniu ogromnego, gumowego drzewa, poczułem straszne zmęczenie.

Już słońce minęło zenit, gdy, pokrzepiony snem, w powrotną zabrałem się drogę. Zostawiając dwóch ludzi, którzy mieli odciąć głowę nosorożca i przynieść ją do obozu, resztę zaś mięsa nie naruszając, postanowiłem zostawić, jako przynętę dla lwów.

(C. d. n.).

---

wrocie. Z wielkim pośpiechem udano się na stacyę kolejową, gdzie już pociąg miał odejść lada chwila.

— Stać, a gdzie świadectwo kolejowe — zawołał nagle żandarm, tamując drogę doktorowi, który trzymał na ręku Nygusika, ażeby go nie zgubić w tłoku.

— Jakie świadectwo kolejowe? — zapytał przerażony tą niespodziewaną przeszkodą, dźwigający Nygusika.

— A no, świadectwo od weterynarza, że pies jest zdrów i można go zabrać do pociągu. Czyż pan nie wie, że tutaj grasuje wścieklizna i miejscowość zostaje pod prawem kontumacyi?

W tejże chwili, usłyszawszy o tem, doktór dostał takiego strachu, że na myśl o możliwości znajdowania się zarazka wścieklizny u Nygusika, cisnął go o ziemię; ten skwapliwie skorzystał z odzyskanej swobody i zaczął biegać po peronie. Żandarm, podejrzewając, że właściciel psa umyślnie go puścił na swobodę, rozpoczął pogoń za zwierzęciem, a po drodze zaangażował do pomocy kilku tragarzy kolejowych; zabawny też był widok, jak Nygusik uciekał zmyślnie, zmuszając goniących ludzi do nieprawdopodobnych skoków po szynach, pokładach kolejowych i różnych przedmiotach.

Wtem rozległ się sygnał odjazdu i pociąg opuścił stacyę. Na peronie stali zrozpaczeni doktór i pani Berta, a ze sporej odległości dochodziły ich krzyki polujących na Nygusika.

— Jeżeli ci teraz schwycą to bydlę, to ta zabawa będzie mnie kosztowała conajmne setkę — rozmyślał doktór.

Pani Berta pociągnęła męża za rękaw.

— Pójdź — rzekła—, niech go gonią, wystarajmy się o bryczkę i jedźmy do domu, — nie chcę więcej znać tego psiska.

Podczas więc, gdy Nygusik niewinnie się bawił ze swymi prześladowcami, zwodząc ich w różnych kierunkach, jego pan i pani, jak dwoje przestępców, umknęli cichaczem i odetchnęli dopiero swobodnie, gdy już siedzieli na bryczce.

Późno w nocy powrócili do domu, bardzo zmęczeni niewygodną jazdą na bryczce; mimo to, doktór nie mógł się udać na spoczynek, dopóki nie obciążył Conta P. jeszcze 20 koronami. Dopiero potem się położył i natychmiast usnął.

Nad ranem, gdy doktorowi śniło się, że 1,000 psów, podobnych do Nygusika, a zamiast znaczków, mających dzwonki, daje wściekły koncert — został nagle przebudzony przez panią Bertę.

— Słuchaj, ktoś tam stoi za drzwiami — mówi małżonka. Doktór się zerwał. Dzwonek elektryczny wydawał dźwięki przeraźliwe. Pośpieszył więc szybko otworzyć. Woźny telegrafu wręczył mu pilną depeszę.

„Depeszujcie, czyście szczęśliwie przyjechali, bardzośmy niespokojni, list wysłany“.

Zdziwiony niezmiernie, doktór pośpieszył o świcie na telegraf, żeby wysłać krewnym żądaną depeszę, że

Warszawskie koło sportowe.

Pod powyższą nazwą powstaje instytucya, która wypełni dużą lukę w naszej organizacyi społecznej. O celu, o zadaniach mówi sama jej nazwa. Starać się będzie o krzewienie zamiłowania do sportu wśród społeczeństwa naszego, starać się będzie ulatwiać, uprzystępniać oddawanie się i korzystanie ze sportu i jego dobroczynnych skutków warstwom szerokim. Wprawdzie posiadamy już stowarzyszenia sportowe, są to jednak instytucye, mające na względzie jedną gałęź sportu, podczas gdy „Koło" obejmuje wszystkie nieomal jego działy, począwszy od konnej jazdy, strzelania, a skończywszy na foot-balu, tennisie i t. d.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że sport w swych skutkach jest bezwzględnie pożyteczny, oczywiście o ile jest stosowany racyonalnie, ale też nie ulega wątpliwości, że jest względnie drogi i dostępny dziś dla sfer bardzo nielicznych, nawet przy zrzeszeniu się. Drobne składki nawet licznej grupy ludzi nie wystarczą na to, aby odrazu wynająć odpowiednie tereny, zaopatrzyć je w odpowiednie urządzenia. Trzeba na to czekać lata całe, potrzebne urządzenia nabywać stopniowo. Częstokroć założyciele nie mogą nawet sami korzystać z założonej przez się instytucyi. Pracują dla pokoleń następnych.

„Koło" pod tym względem staje odrazu w warunkach pomyślnych. Już sama organizacya pomyślana została tak, aby zapobiedz brakom. Członkowie założyciele i członkowie rzeczywiści wnoszą po 200 rb. wpisowego, niezależnie od corocznej dwudziestorublowej składki członkowskiej. Trzeci rodzaj członków, czyli członkowie zwyczajni, opłacają tylko składkę 20-rublową. Podział ten już przy założeniu pozwolił zebrać kapitał potrzebny do utworzenia instytucyi o tak szerokim zakresie.

Jako rekompensatę ustawa przyznaje członkom założycielom i rzeczywistym pewne przywileje w wewnętrznej organizacyi towarzystwa. Natomiast wszelkie urządzenia, tereny i t. p. są dostępne jednakowo dla każdego członka „Koła".

Założenie instytucyi, jej cele wymagają dużych, obszernych terenów. Są to rzeczy kosztowne wogóle, a tem więcej, w naszych warunkach. Założyciele pomyśleli o tem jeszcze przed zatwierdzeniem ustawy i dziś już mogą rozporządzać obszernymi placami i budynkami przy ul. Agrykoli, należącymi do Towarzystwa wyścigów konnych, gdzie zwykle odbywają się doroczne wystawy koni.

W chwili obecnej „Koło" liczy już około 80 uczestników, którzy przystąpili z wkładem 200 rublowym. Podanie o ustawę podpisali margrabia Wielopolski, hr. August Potocki, Stanisław Lilpop, Michał Tabęcki, Adam Michalski, Konstanty Radkiewicz, Władysław Frelich, Michał Berson, hr. Władysław Potocki, Jerzy Zdziechowski, hr. Michał Komorowski, Józef Radoszewski, Stanisław Wotowski, Stanisław Górski, Michał Ordęga, ks. Seweryn Czetwertyński i Mikołaj Kawelin.

Czy społeczeństwo powinno poprzeć „Koło"? Zdaje się, że na zapytanie to może być tylko jedna odpowiedź—potwierdzająca. Mamy wprawdzie dużo, bardzo dużo instytucyj, potrzebujących poparcia, a zarazem coraz mniej możności popierania. Ale poparcie sportu, krzewienie zamiłowania doń w społeczeństwie, to poparcie zdrowia i fizycznego rozwoju wśród naszych współobywateli. Innego środka niema, a kraj, który nie będzie dbał o to zdrowie, o ten rozwój, musi być przygotowany na rozrastanie się charłactwa, na stopniowy zanik zdrowej, jędrnej, fizycznie rozwiniętej rasy. Taki kraj nie może się rozwijać pomyślnie, musi szwankować. Poparcie więc „Koła" nie będzie poparciem rozrywek, lecz poparciem idei, ucieleśnieniem maksymy — w zdrowem ciele dusza zdrowa.

Europa zachodnia już dawno zrozumiała znaczenie społeczne sportu i tam stowarzyszenia w rodzaju naszego „Koła", t. j., obejmujące kraj cały, cieszą się wielką popularnością, a działalnością swą i wynikami tej działalności przewyższyły pokładane w nich nadzieje. Starajmyż się i my sprostać sąsiadom i tak już zadługo pozostawaliśmy w tyle.

---

w dobrem zdrowiu przybyli do domu. Po kilku godzinach nadszedł list zapowiedziany:

„Moi drodzy!

Wyobraźcie sobie nasze przerażenie, gdy wczoraj, chcąc właśnie zamknąć bramę na noc, ujrzeliśmy Waszego Nygusika, sapiącego i okazującego dziwne objawy wyczerpania, który wdziera się na nasze podwórko. Przypuszczaliśmy, że się zdarzyła jakaś katastrofa kolejowa, a przeto wysłaliśmy depeszę. Chwała Bogu, że nasze przypuszczenie się nie ziściło. Napiszcie, w jaki sposób pies pozostał. Zatrzymujemy go tymczasowo u siebie, aż przyjedziecie do nas znowu, żeby go zabrać. Na niczem mu u nas nie będzie zbywało".

Pani Berta musiała oczywiście w dłuższym liście opisać swą przygodę na dworcu kolejowym, wyrażając przypuszczenie, że pies w ucieczce przed pogonią zapewne w końcu przypadkowo powrócił do tej miejscowości i wpadł w otwarte akuratnie wrota. Prosiła też o tymczasowe zatrzymanie Nygusika, dopóki się nie zdarzy okazya do zabrania go.

Wskutek rozmaitych przeszkód, przez kilka tygodni nie było takiej okazyi. Lecz zarówno doktór, jak pani Berta skonstatowali, że ich życie płynie o wiele spokojniej od czasu zniknięcia Nygusika, i z pewnym żalem myśleli o powrocie zwierzęcia.

Wtem otrzymują kartkę:

„Moi drodzy!

Czy nie będzie za wielka ofiara z waszej strony, jeżeli zostawicie Nygusika u nas na zawsze? Dzieci głupio się do niego przywiązały, i beczą na samo wspomnienie, że będą musiały go się wyrzec".

Gdy doktór przeczytał te słowa, można było usłyszeć lekkie westchnienie ulgi. Pośpieszył ustąpić prawo własności do Nygusika, za co krewni zrewanżowali się wspaniałą gęsią tuczoną.

Pani Berta okiem znawczyni oceniała ptaka.

— Wart jest ze 12 koron — zawyrokowała.

Wtedy doktór uroczyście wydobył notesik i zapisał na stronie debetu Conta P. liczbę 12, poczem zamknął Conto raz na zawsze.

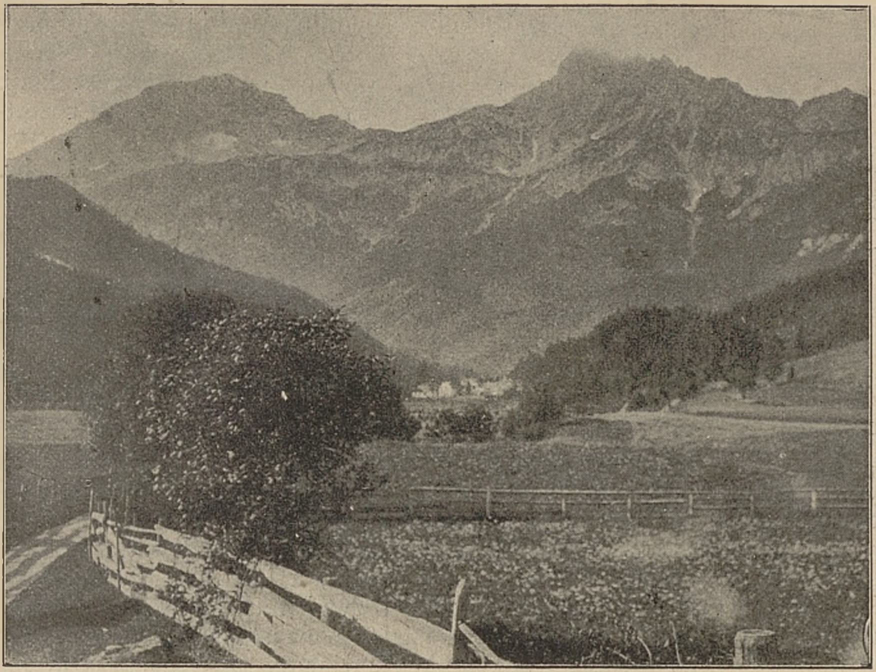
— Wiesz ty, ile nas gęś kosztuje — zapytał potem.

Pani Berta wzruszyła ramionami zdziwiona.

— Nic — odrzekła.

— 250 koron wydaliśmy na Nygusika w czasie jego bytności u nas — ciągnął dalej mąż patetycznie —, ponieważ jednak przynajmniej jego zniknięcie kończy się pozycyą aktywną, niechaj Conto P. bez złych wspomnień się zamknie i zakończy.

Przełożył *J. O.*



Polowanie na kozice w Styryi.

przez **M.**

Minąwszy dumnie wznoszący się nad brzegiem Dunaju klasztor Melk, pociąg opuszcza w Amstetten piękną równinę wspaniałej rzeki i mknie w górskie doliny. Co raz to wyższe skały wystają po nad zielone lasy, górskie strumyki spadają z wyżyn, a dalej bieleje wieczny śnieg w cieniu skalistych szczytów.

Ciarki mnie przechodzą na myśl, że w takich to miejscach zwierzyny w ostoi trzeba będzie poszukiwać. Na twarzy towarzyszącego mi strzelca, jak i ja, dziecka polskiej równiny, strach się maluje.

— Jak to—więc po tych skałach ludzie stąpać mogą — mówią mi jego oczy.

Strasznie brzmi nazwa stacyi, za którą mam wysiąść: „Gesäuse Eingang". Góry piętrzą się i tworzą wspaniałą bramę, przez którą pociąg wpada w dolinę rzeki Enns. Oddycham, trochę tu więcej przestrzeni, więcej powietrza; dopiero za bliższemi wzgórzami, pokrytemi całkowicie lasmi, wznoszą się skały, białemi plamami śniegu zdobne. Już świta nadzieja, że na tych niższych wzgórzach kozice łaskawie zechcą mieć swoje ostoje, wnet atoli nadzieja ta znika. Ot tam, pod wysokim szczytem pasma gór, zwanych „Haller Mauern" bieli się plama śniegu; „Eisloch" zwą to miejsce. Tamtędy jutro przechodzić będziemy.

— A wysokość? — pytam.

— Z górą 2,000 metrów.

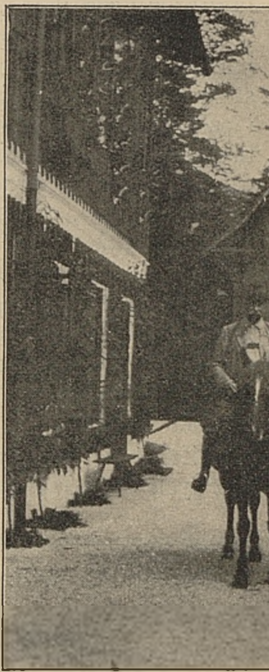
Obecnie znajdujemy się o 700 m. ponad poziomem morza.

Czyste górskie powietrze do snu usposabia. W miłym domku, w tyrolskim stylu, budzę się późnym rankiem d. 6-go września. Piękny widok gór, niestety, zasłaniają chmury i deszcz. Koło południa padać przestaje, lecz zamierzonej wyprawy z noclegiem w górach musimy zaniechać. Mały podchód nad rwącym strumykiem wśród niebotycznych skał, jakby na próbę mych góralskich zdolności, zostaje mi wyznaczony.

O kilkaset metrów nademną żeruje kilka kozic, zatrzymujemy się w nadziei, że zejdą ku nam, znikły jednak bezpowrotnie wśród skał i kosodrzewiny. Niewprawne oko z trudem je rozróżnia wśród kamieni, od których w swej letniej, płowej szacie mało odbijają. Z powrotem widzimy jeszcze w wysokościach pod krawędzią grzbietu gór, kilka tych ostrożnych zwierząt, przekradających się ze skały na skałę, i znikających jedna za drugą, jakgdyby przez jakąś bramkę wchodziły do wnętrza ziemi. Miejscowy strzelec pociesza mnie, zaręczając, że nazajutrz dojdę do strzału i że kilkadziesiąt sztuk kozic podejdziemy.

Piękny, słoneczny poranek budzi mnie 7-go września. Siadamy na tyrolskie kuce, by podjechać pod wyższe szczyty. Koło śniegu „Eisloch", który mnie takim strachem napełniał, pierwsze spotykamy kozice. Cztery pojedyńcze capy pasą się pod skałami. Cóż, kiedy wiatr nam nie sprzyja, czekamy czy się nie odwróci, ale czas upływa, trzeba iść dalej.

Przy zbliżeniu się naszem na jakie 500 — 600 kroków, zwierzyna zaczyna się niepokoić, równocześnie, jakby z pod ziemi, nowe zjawiają się sztuki. Za chwilę, jakby muchy na talerzu, czarne plamy na śnieżnej polance, to w kupę się zbijają, to, nie wiedząc, jaki obrać kierunek, w różne kołyszą się strony; 34 sztuki gromadzą się w stado. Wreszcie, upatrzywszy sobie kierunek, pną się po stromym wekslu na skalistą ścianę. Przez chwilę słychać jeszcze odgłos staczających się głazów, wnet jednak powstaje cisza — i pustka zalega niedostępne na oko skały.



Za najbliższym grzbietem pierwszy raz miałem strzelać do tej, dla nas tak rzadkiej zwierzyny. Pojedyńczy cap stoi na brzegu kosodrzewiny, dzieli mnie od niego przeszło 250 kroków. Wszechstronne echo powtarza huk strzału i zapewne milej odbija się w uchu wesoło uchodzącego kozła, niż w mojem.

Po południowym wypoczynku raz jeszcze dochodzę do strzału, z równym jednak skutkiem.

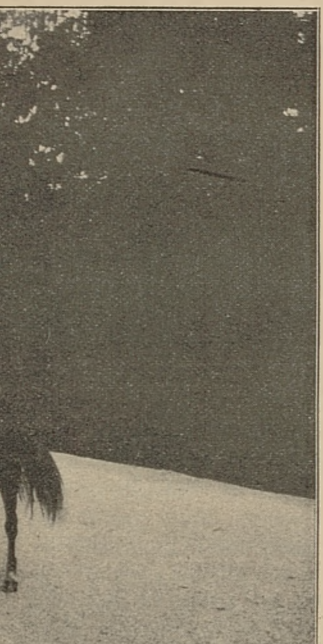
Zmartwiony strzeleckiem niepowodzeniem, lecz używszy na myślistwie w całej pełni, kończę ten dzień polowania. Spotkałem z górą 50 sztuk kozic w najciekawszych warunkach. Jak posąg na skale, wysoko ponad nami jedna z nich odbijała swój profil na niebie, inna zaś defilowała z koźlęciem ponad przepaścią, jakby umyślnie chciała pokazać przybyszowi, w jak niedostępnych miejscach stąpa bezpiecznie.

Nazajutrz, 8-go września, była niedziela. Wysłuchaliśmy Mszy św. w klasztorze w Admont i po nabożeństwie zwiedzaliśmy piękny klasztor z jego wspaniałą biblioteką i wielce ciekawem archiwum. Ojcowie Benedyktyni posiadają znaczne obszary gór i lasów wokoło Admont i wydzierżawiają różnym osobom polowanie na jelenie, kozice i sarny w swych wydziałach. Wydział, w którym polowałem, ma około 6,000 morgów, a stoi w nim do 600 sztuk kozic, z których pada z ręki myśliwych wyłącznie z podchodu rocznie koło 30; w ciężkie jednak zimy, skutkiem śnieżyc, giną te śmiałe zwierzęta w wielkich ilościach. Prócz rogów, pięknem trofeum jest gęsta szczotka na grzbiecie gemzy, t. zw. broda; piękne pióra wyrastają kozicy dopiero wraz z zimowym włosem w końcu października. Polowanie wówczas jest oczywiście o wiele uciążliwsze, niż w lecie, choć wynik jego wobec rui pewniejszy. W innych wydziałach polują z naganką, przeważnie w sierpniu; dla myśliwego sposób ten i wygodniejszy i bardziej owocny. Naganki jednak bardzo pło-

szą kozice, tak, że zwykle tylko co trzy lata w tem samem miejscu je powtarzają.

Po południu znowu obarczyliśmy sobą biedne kuce i dzielny „Retter“ zaniósł mnie na jakie 1.200 metrów ponad poziom morza, po wązkiej ścieżce, obgryzając po drodze sumiennie listki i trawkę. Choć nie jechaliśmy nad przepaścią, jak ją sobie w wyobraźni malujemy, nie miłem było uczucie na myśl: nuż koń się potknie lub pośligznie. Jeszcze godzina wolnego marszu ostro pod górę, w cieniu młodego, mieszanego lasu, i zbliżamy się do kosodrzewiny. Słyszymy tupot i pod skałą zjawia się kilka spłoszonych sztuk — i znowu pudło.

Rozpacz mnie ogarnia i zwątpienie. Widocznie nie zdobędę dawno upragnionego trofeum łowieckiego i obecne trudy nie zostaną uwieńczone powodzeniem. Ależ, bo zawiniłem względem św.Huberta i skarżyć mi się na Jego niełaskę niewolno. Dwa sztucery wziąłem ze sobą. Jeden już w Wiedniu okazał się potrzebującym naprawy, drugi, po dwóch chybionych strzałach, sprawdzony przez specyalistę, pozostał w domu. Niech kochani i łaskawi koledzy-myśliwi zapamiętają, że lunety bez szczególnej przyczyny tracą z czasem dokładność i wymagają ponownego nastawienia; zapominając o tem, można się na poważną myśliwską przykrość narazić — *exemplum sum.* Z pożyczonej i nieznanej, choć dobrej broni w trudnych i obecnych warunkach łatwiej chybić, niż trafić.



O dwieście metrów dalej stajemy, w nadziei, że z zalegającym kamienną polanę cieniem kozice zejdą z wyżyn na żer. Po niedługiej chwili odzywa się młody i sympatyczny Styryjczyk.

— „Da stagt schon aner ani“ (już złazi jeden) — i przy pomocy długiej lunety oznajmia mocnego capa.

Czołgając się przez drzewinę, skacząc z kamienia na kamień, wciągany przez energicznego przewodnika, znajduję się na 200 m. od kozła. Stoi on wyżej odemnie, spokojnie skubiąc trawkę, rzadko rosnącą wśród kamieni, obecności naszej nie podejrzewa, pod nim kosodrzewina, nad nim wysokie skały. Czyż i tego chybię? Niezawodnie.

— Trafić doń nie mogę — mówię do towarzysza.

Mała chmurka dymu, i coraz to szybciej stacza się ku nam upragniona zdobycz. Zatrzymuje ją wreszcie kosodrzewina.

Czy aby nie porwie się jeszcze? Czy to nie „prellschuss“.

Nie — cicho — i niezadługo piękny cap leży u nóg moich. Kilkakrotnie w ciągu wieczora wychodzę z koleby, by się przekonać, czy kozioł rzeczywiście wisi koło drzwi, potem zaś spokojny sen nagradza sługę św. Huberta za poniesione trudy.

I znowu pnę się pod górę w słoneczny ranek. Po godzinie zdala oglądamy pasące się stadko, wiatr pomyślny, należy je podejść, byleby słońce nie doszło do nich, bo pewno ustąpią. Ależ to ciężki trud, chodzić po tych górach; ścieżyna zdala prawie się równą wydaje, a głazy jakby wyrastały na niej, lub też po wązkiej trzeba przejść pochyłości. Przestrzeń, dzieląca nas od zwierzyny, leniwie się zmniejsza; wreszcie wdrapuję się na skałę, z za której podchodziliśmy kozice. Wśród siedmiu sztuk niema dobrego capa, nie ukrywamy się więc: zwierzyna, jakby czując, że nic jej nie grozi, bez przestrachu wolno uchodzi i ginie w skałach. Jeszcze raz, het tam wysoko, zarysowywuje się na szczycie skały profil zwinnego stworzenia, i znowu niczem niezamącona cisza.

Prawie na czworakach pełznę dalej po stromej ścieżynie, przez zwierza wydeptanej, chwytając się gałęzi kosodrzewiny. Co 15 kroków brak mi oddechu i obiecuję sobie, że żadne trofea ponownie mnie na te łowy nie skuszą. Coraz to ciężej piąć się pod górę, a czas upływa, słońce przygrzewać zaczyna i zwierz się schroni w najwyższe, niedostępne skały.

Jeszcze 50, jeszcze 20 metrów, i po godzinnem, uciążliwem drapaniu się, dochodzimy do płaskowzgórza, po którem dalej podchodzić mamy.

Wkrótce zbliżamy się do kamiennej polany, gdzie strzelcy zwierza wyglądają. W jednej chwili spostrzegamy na prawo stado z jakich 40 sztuk, które nas już zawietrzyły i uchodzą, przed nami zaś stoi ich ze 30 w różnych grupach. Trzysta blizko kroków do najbliższego dobrego capa. Strzelam, dał dobry znak, i po 60 krokach chwieje się i wali.

Nastała chwila odpoczynku i pokrzepienia zmęczonego ciała. Rozbite stado nie znika nam z oczów, i w czasie posiłku widzimy kilka grup, które, z początku niespokojne, znowu zaczynają żerować, a część układa się na śnieżnej polanie, ze 400 metrów pod nami. Ku nim się kierujemy.

Trzy razy jeszcze w różnych warunkach dochodzę do strzału, ale bez powodzenia. Zmęczenie, duże odległości, brak wprawy w strzelaniu w górach, wreszcie obca broń, niech będą dla mnie wytłomaczeniem.

Po dwóch godzinach marszu, spostrzegam z radością czekający w dolinie powóz. Nazajutrz zaś, dojeżdżając do Wiednia, mile uderza mieszkańca równiny brak dusznych gór i skał. Po kilku dniach jednak pomyślałem, że gdyby mnie ponownie na kozice zaproszono, nie zawahałbym się powrócić do pięknych gór, skalnych ścieżyn i stromych przesmyków, zwykle tylko przez płochego zwierza uczęszczanych.



Karmienie szczeniąt mlekiem surowem a gotowanem.

Ciekawe doświadczenia, co do karmienia szczeniąt, dokonane zostały niedawno przez d-ra Eichloffa, kierownika instytutu mleczarskiego w Greifewaldzie, i ogłoszone w piśmie „Landw. Wochenschrift für die prowinz. Pommern“. Na interesujące wywody zwróciło już uwagę jedno z pism rolniczych, w którem p. Z. D. Szremowicz wyprowadza ztąd wnioski co do karmienia młodych zwierząt wogóle. Wywody te przytaczamy też w streszczeniu. Wiadomo jest, że mleko podlega przy gotowaniu, a nawet już przy ogrzewaniu go do 80 C. rozmaitym i bardzo poważnym przemianom, wyrażającym się przedewszystkiem w tem, że traci własność ścinania się przy użyciu podpuszczki, że białko podlega ścięciu, czyli zdenaturowaniu, że rozpuszczalne sole stają się nierozpuszczalnemi i że tworzą się w niem czynniki jadowite i trujące.

Proces trawienia uprzedza w żołądku proces zsiadania się mleka pod działaniem soków żołądkowych, jak wiadomo, posiadających własność podpuszczki, ponieważ jednak mleko gotowane, lub wysoko ogrzane traci własność takiego zsiadania się, przeto jest ono trudniej strawne, niż mleko surowe, które tej własności nie zatraciło. Najłatwiej strawną część mleka stanowi rozpuszczalne białko, z chwilą jednakże, gdy stało się ono przez ogrzanie nierozpuszczalnem, traci również w znacznej mierze swoją wartość pożywną. Z chwilą, gdy rozpuszczalne sole mleczne stają się nierozpuszczalnemi, to albo przepadają dla organizmu (kości, krwi) zupełnie, albo dają się mu o wiele trudniej przyswoić, niż z mleka naturalnego, surowego.

Poboczne przeobrażenia ciał białkowych, powstające przy denaturyzacyi, powodowanej przez gotowanie lub ogrzanie mleka, mają własności trujące i stale doprowadzane do organizmu, ostatecznie wywoływać mogą niepożądane zupełnie, bo zgubne i szkodliwe dla niego skutki.

Dla przekonania się, czy żywienie młodych zwierząt przez czas dłuższy mlekiem gotowanem, wywiera na rozwój ich organizmu skutki szkodliwe, przeprowadzono w instytucie mleczarskim w Greifewaldzie próbę takiego karmienia na młodych szczeniętach.

Miot szczeniąt, złożony z 8-iu sztuk, podzielono na dwie równe grupy, z których jedną *A* żywiono wyłącznie mlekiem surowem, gdy natomiast grupa *B* otrzymywała mleko gotowane przez przeciąg 15-tu minut. Żadnej inne karmy zwierzęta te nie otrzymywały. W czasie trwania tego doświadczenia ważono zwierzęta na końcu każdego tygodnia. Przy końcu próby, która trwała przez trzy miesiące, poddano psy zachloroformowaniu, przyczem otwarto im arterye główne i wypuszczono z nich krew, którą poddano jaknajdokładniejszym badaniom pod względem wagi gatunkowej, ilości kulek krwistych, zawartości i jakości części białkowatych, ilości i składu części mineralnych, czyli popiołów etc. Oprócz tego badano w instytucie patologicznym uniwersytetu w Greifewaldzie mięśnie i kości, ich strukturę i skład; słowem, starano się zdobyć wszelkie możliwe dane naukowe.

Rezultat próby był następujący: W pierwszym tygodniu przybierały psy grupy *A* więcej na wadze, niż w grupie *B*, od drugiego tygodnia okazał się natomiast stosunek wręcz odwrotny. Przy badaniu krwi okazało się, że zawartość fibriny, soli, białka i waga gatunkowa były w grupie *B* niższe, niż w grupie *A*, czego się też z góry można było spodziewać.

Kości grupy *B* były o wiele lżejsze i rzadsze, niż w grupie *A*, szpik tych kości był podpadająco anemiczny, a łopatki były również ubogie w części krwiste. Chemiczna analiza kości wykazała, potwierdzając zewnętrzny słabszy ich wygląd, że kości grupy A posiadały znacznie więcej części mineralnych od grupy *B*.

Równolegle z temi doświadczeniami czyniono szereg innych, mających wykazać, jakiego rodzaju przemiany powstają w białku mleka przy ogrzewaniu takowego i jakie są ich własności.

Nie chcąc zapuszczać się w nader specyalne wywody i wyliczenia, na które tutaj miejsca niema, przytoczę tylko ostateczny wynik tych badań, streszczający się w tem, że już samo stanie mleka w gotującej się wodzie powoduje wytworzenie się znacznej ilości substancyj wprost trujących, które na młode organizmy działają stanowczo szkodliwie.

Określając zaś treściwie ostateczny rezultat tych badań, dochodzi dr. Eichloff do przekonania, że karmienie młodych zwierząt mlekiem gotowanem nie jest dla ich organizmu tak korzystnem, jak karmienie mlekiem surowem, oraz że przez ciągłe takie karmienie nastąpić może z czasem zwyrodnienie. Wyraża on zdanie, że w ostatnich czasach, już tak często obserwowana choroba rozmiękczenia kości, ma prawdopodobnie styczność z karmieniem mlekiem odtłuszczonem, pochodzącem z mleczarń spółkowych — jedyny, skuteczny środek zapobiegawczy przeciwko zawleczeniu chorób zaraźliwych. Dokonane doświadczenia uczą jednakże, że ten jednostronnie dobry środek ma także swoje złe strony i że należałoby zawczasu starać się szukać innego, lepszego sposobu.

Psy wiejskie.

Prawie w każdej chałupie na wsi są chowane psy, bez żadnego planu, bez żadnej myśli przewodniej. Tymczasem pies domowy, w odróżnieniu od psów specyalnie myśliwskich lub psów owczarskich, może oddawać wielkie usługi, jako stróż i obrońca dobytku, a nawet i ludzi.

Psy, chowane na wsi, dworskie, są zwykle utrzymywane w porządku, to znaczy, otrzymują odpowiedni pokarm, mają odpowiednie schronienie i specyalnie się nimi zajmującego dozorcę, stąd też obowiązki swe spełniają z prawdziwym pożytkiem.

Psy wiejskie, trzymane przez gospodarzy, pokarmu od swego pana prawie nigdy nie otrzymują, są przez wszystkich zwykle bite i straszone, pomimo to jednak, dzięki wrodzonej dobroci, są wierne i przywiązane. Widząc w każdym obcym wroga, który nietylko, że im jeść nie da, ale i dotkliwie obić może, psy te są bardzo czujne.

Dzięki jednak temu, że są traktowane źle, wybierają się samopas w nocy na polowanie, w celu wyszukania żeru, i oczywiście już domu nie pilnują; niezależnie od tego, wałęsają się po polach i drogach; psy te są narażone na zarażenie się różnemi chorobami od psów innych. Przepisy policyjne i łowieckie nakazują tępienie psów, wałęsających się bez pana, lub nieposiadających u obroży sznura lub kawałka kija; jednak strzelać do psów nie będzie chłop, bo mu to nic nie przeszkadza, że cudzy pies się wałęsa, zaś obywatel również nie zawsze chce się narażać chłopu — sąsiadowi.

Otóż, żeby psy włościańskie rzeczywiście odpowiadały swemu zadaniu, powinny być odpowiednio utrzymywane, żeby zaś były i silne odpowiednio i nie zdradzały chęci do polowań „na własną rękę“, powinny dyć odpowiedniej rasy. Taka, odpowiednia dla zagród wiejskich, rasa, to buldogi. Pokarmu potrzebują one niewiele, siłę muskułów posiadają wprost olbrzymią, są zajadłe, zwinne, a z doświadczenia nad buldogami wiemy, że węszyć po polach nocami nie lubią, gdyż specyalna budowa szczęk i nosa buldogów sprawia, iż każda kropla rosy, któraby buldogowi do nosa wpadła, przejmuje go wstrętem. Dobrzeby też było, aby dwory, zamiast różnych kundysów i pokurczów, chowały 3 —4 buldogi. Nadmienić

należy, że wszystkie opowiadania o fałszywości i krwiożerczości buldogów są wymysłem, opartym li tylko na grozę budzącym wyglądzie zewnętrznym buldoga; wreszcie buldogi są nadzwyczaj przywiązane do swego pana i bardzo pojętne.

Psy domowe, pominąwszy psy specyalnie myśliwskie, prawie wszędzie nic nie są warte, jako stróże. Po miastach chowają albo ociężałe, apatyczne kolosy, sanbernardy, wodołazy, leonbergery i dogi, albo też mopsy, pinczerki, charciki i pudle, które są za słabe, za wypieszczone, za tchórzliwe i za mało inteligentne (oprócz pudli) na to, aby miały być dobrymi stróżami. Że taki pies czasami szczeknie i cały dom zaalarmuje, to zdarza się tylko wyjątkowo. Rzucić się na złodzieja i skaleczyć lub przytrzymać go, ani szpic, ani foxterier nie może, bo jest na to za słaby.

Do miasta najodpowiedniejszy jest wyżeł krótkowłosy (pointer), który ma i temperament i węch znakomity i dosyć siły do stawienia oporu napastnikowi.

Za granicą prawie na każdym kroku spotkać można psa, który jest i towarzyszem zabaw dzieci i ich doskonałym obrońcą. Wchodzą obecnie coraz bardziej w modę ładne i zmyślne psy owczarskie szkockie, t. zw. collies, są jednak trochę za delikatne i za słabe na nasze stosunki.

Z hodowli bażantów.

(Przyczynek do odpowiedzi Nr. 2 w Nr. 1 „Łowca Polskiego“).

Dwa lata temu, w warunkach, bardzo do podanych przez p. Biesiekierskiego zbliżonych, w zagajnikach o obfitem podszyciu, z wodą stojącą, zaprowadziłem bażanty. Nabyłem w Krośniewicach 10 sztuk, — 2 koguty i 8 kur, przetrzymałem je w kurniku od lutego do marca, aż mrozy ustały, ozdobiwszy kurnik w gałęzie świerkowe i sosnowe, i dając, jako pożywienie, jedynie poślad pszenny, wyborowy i wodę. Z końcem marca bażanty wypuściłem w zagajnik i do dziś dnia utrzymały się doskonale na dziko, obecnie mam już do 100 sztuk, nie licząc tych, które powędrowały do moich sąsiadów. W zeszłym roku padło dwanaście kogutów. Przyrost jest szybki i bardzo zadawalniający, a jako strzał, ptak ten należy do najprzyjemniejszych. Pośród tych 8-iu kur, które stanowią fundament hodowli, była jedna srebrna, jedna z białą obrożą, a reszta należała do gatunku t. zw. czeskich bażantów. Otóż najlepszą matką okazała się bezwarunkowo kura srebrna, gdyż już w pierwszym roku dała mi 15 młodych, a w następnym 14, podczas kiedy inne nie miały przeciętnie nigdy więcej, jak 10.

Co do źródła sprowadzenia bażantów, bezwarunkowo Krośniewice polecić można, gdyż, jak sam powyżej przytoczyłem, ztamtąd przywiezione bażanty, były silne, zdrowe i doskonale się rozmnażają. Jako konieczne, uważam tylko przetrzymanie sprowadzonych ptaków jakiś czas w kurniku i dlatego lepiej je wcześniej sprowadzić, dajmy na to w połowie lutego, żeby, z nastaniem ciepłych dni wiosennych, módz je natychmiast wypuścić na wolność.

Jan hr. Moszyński.

Sójki, 10 stycznia 1908 r.

Korespondencye „Łowca Polskiego“.

Czernowa, gub. chersońska.
(Kores. spóźniona).

Jesień głęboka. Z drzew resztki zeschłego liścia otrząsły chłodne, północne wiatry, pożółkły niedawno jeszcze zieleniejące trawy, zwarzone wczesnymi mrozami badyle, sterczą gołe i nagie, jak szkielety, step przybrał szaro-żółtą barwę. Rolnik postawił swój pług w szopie, skrzepłej ziemi orać nie może, owce, bydło i tabuny końskie, nie znajdując dla siebie podnożnego wyżywienia, powróciły do gumien i zagród. Głucho i pusto na stepie, tylko zimne wiatry świszczą i buszują w burzanach. Zajęcy dużo wszędy, czas wziąć za flintę i zapolować. To też dzisiaj zebrało się znów nasze szczupłe kółko rodaków, od lat 15-tu na wiernej służbie wdzięcznej Dyany tu będące.

Przewodniczy nam, jak zwykle, nasz serdeczny senior, p. E. Kraśnicki, który rozpoczyna łowy doroczne udatnym dubletem do lisa. W mizernych naszych laskach i zajęcy mizernie, lisów tylko kilka wysunęło się bokiem, 2 — 3 spudłowano, 3 zabito. Okazy, mimo jesiennej pory nieszczególne, mało puszyste. Profesor, p. Nowicki, spudłował ogromnego puhacza, których przelot od kilku tygodni się zaczął. Orłów obfitość duża, lecz do strzału nikt nie przyszedł. Trzymają się miejsc odkrytych i wyniosłych, zkąd obserwują okolicę i wypatrują postrzałka, bijąc go momentalnie. Aby szanowny czytelnik, naszych stron nie znający, miał pojęcie o ilości tych ptaków, zimujących tu pospolicie, nadmienię tu o chłopie H., który w ciągu 14 dni 19 pięknych, królewskich tych stworzeń, dostarczył mej pracowni. Bije on je nocą, na wypatrzonego, inaczej zaś tylko przypadkowo, lub przy gęstej mgle zejść je można. Głównie są to *aquila nobilis*, z pięknemi, białemi plamami na plecach, lub wielkie *aq. chrysaëtis*, zaś pod wiosnę częściej nalatują orłany białogłowe *(albicilla)*. Szkody w zwierzynie muszą robić straszne, spotykamy często w polu resztki niedojedzonych przez nich zajęcy. Po polskim bigosie i wypiciu z termosa gorącej herbatki, porzucamy laski i zajmujemy polne pozycye. Wszędzie dawno niebywałe masy zajęcy — kuropatw mniej. Na 20 morgach burzanowatych pól spędzono 30 sztuk zajęcy, z których wiele sztuk odznaczało się prawie białą zupełnie barwą. Mimo całej sprawności naganki, przy małej zaś liczbie strzelb większość zwierzyny przechodziła bez strzału — do innych strzelano na dystans rzadko bliższy 70 — 90 kroków. Z siedmiu zabitych, do jednego strzelałem tylko na 50 kroków najbliżej. Śrótówka Browninga, użyta po raz pierwszy dzisiaj, najkompletniej mnie zadowolniła. Dawałem strzały dalekie z rezultatem dobrym.

Rezultat 6-godzinnego polowania dał nam dziś 30 zajęcy i 3 lisy, co, na stepowe warunki, nas zadawalnia. Polowano w 5 flint.

Wł. Czerniejewski.

Z literatury łowieckiej.

„Les chiens, le gibier et ses ennemis“. Wydawnictwo „Manufacture française d'Armes et Cycles, Saint Etienne“.

Wydawnictwo to nazwać można krótko: „Album myśliwski“, zawiera bowiem szereg obrazów, ilustrujących przedewszystkiem najrozmaitsze gatunki zwierzyny, dalej drapieżników i wreszcie broni, aczkolwiek tej ostatniej karta tytułowa nie wspomina.

Ilustracye dla wydawnictwa *„Manufacture francaise“* wykonał znany francuski artysta malarz P. Mahler;

tekst napisał specyalista, J. B. Somat, redaktor działu kinelogicznego w *„Chasseur Français"*. Uwzględniono też najobszerniej opisy i ilustracye psów z rasami francuskiemi na czele. Rozpoczynają książkę krótkowłose wyżły, których Francuzi hodują znaczną liczbę: *Braque Dupuy, braque de Bourbonnais, braque bleu d'Auvergne, braque d'Ariège, braque Charles X, braque Saint-Germain.* Dalej następują angielskie pointery. Sporo miejsca poświęcono psom niemieckim, a głównie rodzinie jamników. Potem idą *„Epagneuls"* (długowłose): francuskie, trzy gatunki seterów, oraz specyalny setter szkocki, czerwono-biały. Z kolei mamy spaniele: dwa gatunki francuskie: *„Barbet d'Arrêt"* i *„Spinone"*, *Irish water-, English water-, Clumber-, Sussex-, Welsy-, Field-, Cocker-, black and tan*-spaniele; dwa gatunki retrieverów; *„Chien de Saint-Hubert"*; dwa gatunki griffonów; starodawne gończe francuskie; otter-hound; bassets; jamniki. W końcu są charty, psy arabskie *(Slough* albo *Slughi)* i maurytańskie, a zamyka spis *fox-terrier*.

Uwzględniono naturalnie tylko psy myśliwskie.

Zwierzęta łowne podano w całej rozciągłości, przyczem, zwyczajem francuskim, zaliczono do *„gibier"* taką „zwierzynę", jak kos, skowronek, szpak.

Broń, jak już wspomnieliśmy, nie została pominięta, i nic dziwnego, skoro wydawcą jest *„Manufacture d'Armes"*, a przytem broń można także zaliczyć do *„ennemis du gibier"*, o których mowa na karcie tytułowej.

J.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 15 stycznia. Członek Wydziału Ochrony p. Wł. Starzyński, nadesłał zawiadomienie, że zrzeka się mandatu. Rada postanowiła prosić p. Starzyńskiego, aby zechciał nadal mandat zatrzymać.

Z uwagi na zmniejszenie personelu kancelaryi Oddziału i podwyższenie tem samem czynności pozostałych urzędników, postanowiono podwyższyć im nieco pensyę i wydać gratyfikacyę.

Posiedzenie Rady, 29 stycznia. Na terenach myśliwskich naszego Oddziału w Miedniku, na drugi dzień po polowaniu Członków Oddziału schwytano paru kłusowników, którzy na tych terenach urządzili sobie formalne polowanie z nagonką. Odebrano im parę broni, parę znaleziono porzuconych w śniegu. Wobec tego Rada postanowiła zwrócić się do gubernatora siedleckiego z prośbą o surowe ukaranie rzeczonych kłusowników, których osobistości zostały stwierdzone. Nadto winnym wytoczono w sądzie gminnym proces.

Ogólne Zebranie Członków w celu wyboru komisyi rewizyjnej wyznaczono na d. 19 lutego. Na zebraniu tem przedstawione będą też różne wnioski Rady.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Dnia 16 i 17 grudnia, przy udziale 16 myśliwych odbyło się polowanie w Siemkowicach. Dnia pierwszego królem polowania był p. Antoni Orzechowski z Mulonowa, następnego dnia p. Chwailbóg Tadeusz. Wogóle zabito 240 sztuk zwierzyny: zajęcy 219, kuropatw 20 i 1 lisa. Dało się zauważyć, jak wszędzie, tak i w Siemkowicach, daleko gorszy stan zwierzyny. W ubiegłym roku na tym samym terenie padło sztuk 440.

Na dorocznem polowaniu w dobrach Burzańsko-Olchowieckich w dniach 28, 29 i 30 grudnia (st. st.), padło w kniejach: Prywortowie i Lipniaki, 20 rogaczy, 285 zajęcy i 2 lisy. Corocznie i stale zwiększający się rozkład ubitej zwierzyny pożytecznej, wymownie świadczy o starannej opiece nad nią, bez szkody dla ślicznych kultur, na dużej przesrzeni, racyonalnie prowadzonego gospodarstwa leśnego. Licznie zebrani myśliwi podejmowani byli ze zwykłą szanownemu gospodarzowi gościnnością i uprzejmością.

Na Wołyniu, w dobrach Antonińskich hr. Józefa Potockiego, odbyły się w kilka strzelb dwa małe polowanka, a mianowicie 24 grudnia (6 stycznia) w lasku Mało-Puzyreckim, sąsiadującym z bażantaryą „Helenin," gdzie zabito 1 kozła, 25 bażantów kogutów i 16 zajęcy. Na rozkładzie, najwięcej, gdyż 1 kozła, 9 kogutów i 5 zajęcy miał młody hr. Roman Potocki, syn właściciela. W dniu zaś 28 grudnia (10 stycznia), polowano w rewirze Czerniatyńskim, gdzie padły 2 kozły oraz 58 zajęcy. I tu na rozkładzie, znów najwięcej miał hr, Roman Potocki, albowiem 2 kozły i 12 zajęcy (na 13 strzelanych). Tak młodemu, bo zaledwie 15 rok liczącemu myśliwemu, śmiało rokować można na polu myślistwa nie małych z czasem sukcesów, czego mu z serca życzymy.

Zima obecna u nas, jako bardzo śnieżna, znów zapowiada się niekorzystnie dla zwierzyny i, tylko prawdziwa nad nią opieka, oraz racyonalne karmienie, uchronić ją może od zagłady. Kuropatw, prawie w całej okolicy na śniegu nie widać, U nas jest trochę i karmi się je w polach, gdyż zeszłoroczne wyłowienie ich podczas wielkich śniegów i następnie wypuszczenie z wiosną — nie dało dodatnich rezultatów.

Dla powiększenia zwierzostanu w tutejszych lasach, sprowadzone będą tej jeszcze zimy, zające-bielaki z nowogrodzkiej gubernii, o ich zaś zaaklimatyzowaniu się i rozmnożeniu, nie omieszkam w swoim czasie podać do wiadomości czytelników „Łowca Polskiego."

Artur S.

W d. 10 i 11 stycznia, w lasach dóbr Modryniec, Modryń i Terebiń, pp. Karola i Władysława Milowiczów, odbyło się dwudniowe polowanie w 12 strzelb, które na stosunki nasze dało rezultat bardzo pomyślny. Pomimo niezbyt sprzyjającej pogody na rozkładzie znalazło się 71 sztuk zajęcy i 8 rogaczy.

Udatne łowy oraz serdeczność i gościnność szanownych gospodarstwa pozostawiły niezatarte wspomnienie w pamięci uczestników. Z żalem opuszczaliśmy gościnne progi Modryńca, pocieszeni jedynie nadzieją, że pewnie za rok będziemy mieli sposobność odnowić przyjemne wrażenia.

I. S.

Dnia 14 stycznia odbyło się jednodniowe polowanie w majątku Pieskowiec, p. łęczyckiego, u pana Mieczysława Stokowskiego. W 12 strzelb zabito 293 zające i 15 kuropatw. Królem był p. Edward Kremky, mając na rozkładzie 33 sztuki. Świetny zwierzostan przeszedł wszelkie oczekiwania obecnych; to też serdecznie winszowano gospodarzowi, który dzięki całorocznym staraniom i znakomitej organizacyi polowania, doszedł do takiego rezultatu.

D. 16 stycznia w majątku Mąkolin (włók 22), będącego własnością Stanisława Łazarewa, w powiecie piotrkowskim, w 8 strzelb zabito: 110 zajęcy, 8 kuropatw i 1 lisa. Królem polowania był pan H. Bronikowski, który na rozkładzie miał 16 zajęcy i 3 kuropatwy.

U p. Józefa Boguckiego, w d. 18 stycznia, na gruntach należących do majoratu Łomaskiego, polowano z nagonką w lasach i w 8 strzelb zabito: 1 lisa, 60 zajęcy i 4 cietrzewie. Królem polowania był p. Jan Wójcicki z Łomaz, który miał na rozkładzie: 1 lisa, 10 zajęcy i 3 cietrzewie. Jestto rezultat wcale niezły, jak na tutejsze strony, gdzie kłusownictwo kwitnie w pełni rozwoju.

Dnia 21 i 22 stycznia, odbyło się polowanie w Mostowie, w pow. mławskim, u p. T. Mostowskiego. W 12 strzelb zabito: 3 lisy, 18 kuropatw, 195 zajęcy, różnych 3; razem 219 sztuk. Królami polowania byli pp. Gustaw Chłapowski i Tadeusz Dachowski. Polowanie było wzorowo prowadzone.

Na Podolu, w majątku Werbce-Wołoskie, u pp. Tytusa i Władysława Wiszniewskich, polowano w 7 strzelb i zabito 63 zające oraz 9 lisów. Na polowaniu tem królowała p. Seweryna z Górskich Miłobędzka, miała bowiem na rozkładzie 3 lisy i 17 zajęcy. Następnie p. Henryk Mier-Połtowicz miał 3 lisy i 15 zajęcy, a p. Władysław Wiszniewski 1 lisa i 8 zajęcy.

Na Węgrzech w leśnictwie „Pusza-Szer" w majoracie Mindszcent-Algy margrabiego A. Pallavicini'ego, odbyło się 4-dniowe polowanie ze współudziałem hr. Gołuchowskiego, który zabił 876 sztuk. Karol ks. Schwarzenberg, zabił przez ten czas 1,022, Franciszek ks. na Raciborze 793, hr. Althann 1,051, Maurycy ks. na Oettingen 803, K. hr. Traun 1,212, hr. Szechenyi 930, hr. Geza Apponyi 904, dr. Cicatricis 182, margrabia A. K. Pallavicini 838 i właściciel 735. Razem zabito 9,346 sztuk, w czem sarn 61, zajęcy 6,889, bażantów 2,166, kuropatw 211, 1 lisa, różnych 18.

Na parodniowem polowaniu, które się odbyło w pierwszych dniach stycznia u p. Rohta, w Wierzchowicach (gub. grodzieńskiej), pomimo śnieżnej zadymki, zabito w 15 strzelb: 206 zajęcy, 2 lisy, 2 kozły i 40 bażantów. Godne naśladowania zabiegi p. Rohta, koło podniesienia zwierzostanu opłakanego w okolicy, uwieńczone zostały świetnym rezultatem, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że bażanty dopiero od lat 3 są zaprowadzone.

Wykazy myśliwskie.

W Poznańskiem odbywa się energicznie tępienie drapieżników. Dowodem tego są następujące wykazy: W Kunowie, w rewirze obejmującym 3,000 morgów, ubito w przeciągu roku zeszłego: 20 lisów, 2 kuny, 40 tchórzy, 32 łasic, 64 kotów, 21 psów, 11 jeżów, 5 jastrzębi, 1 sokoła wędrownego, 2 krogulce, 7 srok, 101 wron, 1 rybitwę. W innem leśnictwie pod kierunkiem p. Gramowskiego, ubito w r. z. z drapieżników: 22 lisy, 1 wydrę, 2 borsuki, 5 tchórzy, 9 łasic, 13 psów, 23 kotów, 59 wiewiórek, 30 ptaków drapieżnych dużych i 28 małych, 160 wron, 20 srok, 21 dębosieków, 7 traczów.

Na ołtarz św. Huberta.

	rb. k.
Złożono w Redakcyi „Łowca Polskiego" po dzień 1 grudnia r. z.	265.07
W dalszym ciągu złożono:	
Hr. Pusłowski Władysław	10.—
p. Koperkiewicz J., nadleśny	3.—
p. Stempowski Hubert	3.—
p. Rejnhardt Gustaw	1.-
Ogółem wpłynęło składek	282.07

Drobiazgi myśliwskie.

Kłusownictwo. Otrzymujemy pismo następujące: Wracałem dziś po południu z Warszawy, jadąc końmi, od stacyi kolei podjazdowej w Górze Kalwaryi. Przedemną jechał obywatel, starszy wiekiem. Już zmrok zapadał, gdy nagle usłyszałem strzał. Jest to odgłos, który zwykle każdego elektryzuje, a cóż dopiero w dzisiejszych czasach. Jakież było moje zdumienie, gdy spostrzegłem, że sanki, przedemną jadące, stanęły—wysiadł z nich woźnica i poszedł o kilkanaście kroków, od szossy, na pole, aby przynieść kuropatwę,—celnym strzałem zabitą, ze stadka siedzącego na śniegu, na cudzem polu!!! Zaiste piękny przykład! Ajestem przekonany, że ów obywatel, byłby mocno zdziwiony, gdyby go kłusownikiem, kto nazwał. Tak szanujemy prawo, cudzą własność i etykę myśliwską. *Jan Zamoyski.*

Choroba i zgon lwa. Popisujący się od kilku tygodni w Warszawie w cyrku Cinisellego słynny pogromca zwierząt Ryszard Sawade znalazł się w nielada kłopocie. Oto jeden z bardzo okazałych wychowańców Sawade, lew „Nero", zapadł na zdrowiu. Pogromca troskliwie zaczął się nim opiekować, stosował kilkakrotnie rozmaite „domowe" środki, lecz gdy stan zdrowia mimo wszystko pogarszał się, Sawade postanowił odnaleźć jakiegoś odważnego lakarza weterynaryi, któryby radykalniej zajął się „chorym". Poszukiwania były wszakże bezowocne. Żaden z weterynarzy, do których Sawade się zwrócił, słyszeć nawet nie chciał o takim pacyencie. Potężny lew tymczasem coraz bardziej opadał na siłach i oto gdy już zdawało się, iż niema żadnej nadziei uratowania zwierzęcia, zgłosił się do Sawade lekarz weterynaryi, pan Kazimierz Dębiński i zaofiarował mu swe usługi. Uradowany pogromca niebawem wprowadził do oddzielnej klatki chorego „pupila"—i zaprosił do niej odważnego lekarza. Ten po pierwszem silniejszem wrażeniu szybko zdołał oswoić się z niezwykłym pacyentem i ostatecznie zbadał go w sposób najbardziej drobiazgowy. Sytuacya, która rzeczywiście dreszczem przejmowała, było osłuchiwanie lwa. Lew jednak rozstał się z tym światem. Nie pomogły zabiegi odważnego lekarza weterynaryi p. Kazimierza Dębińskiego, choroba była zbyt ostra, aby jakkolwiek pomoc mogła zapobiedz smutnemu epilogowi. Na śmierci zwierzęcia p. Sawade poniósł znaczne straty materyalne. Zwierz będzie wypchany w jednym z zakładów warszawskich.

Wypadek z bronią. We wsi Mełgiew, w pow. lubelskim, synowie włościanina Starzyńskiego, 13-letni Władysław i 11-letni Stanisław, pochwycili niepostrzeżenie strzelbę i wymknęli się z nią do lasu. Strzelba była nabita i niósł ją Władysław; w lesie chłopiec wywrócił się, powodując strzał. Nabój ugodził 11-letniego Stanisława w pachwinę, nogi, oraz w brzuch. Ofiara nieszczęśliwego wypadku w kilka godzin zakończyła życie.

Z Kaukazu. Rzadkie na Kaukazie wilki zostały niedawno zabite pod Tyflisem. Dwa z nich kupił handlarz dziczyzny z bazaru tyfliskiego, gdzie dosyć często spotyka się zabite niedźwiedzie, dziki i t. d. Oba te wilki zostały zabite w dość niezwykłych warunkach. Dwóch młodych gimnazistów wybrało się mianowicie na polowanie do lasu podmiejskiego, zwanego Arsenałem. Nagle pies zrobił stójkę przed gąszczem, skąd wyszły też zaraz dwa wilki. Gimnaziści dali ognia, przyczem jeden wilk poległ odrazu, a drugiego, zranionego, odnaleźli potem i dobili.

Czarne wilki. W Peransku, niedaleko stacyi kolei Orenbursko-Taszkenckiej, w obwodzie Syr-Darya, złowiono parę młodych wilków, zupełnie czarnych. Donoszące o tem zagraniczne pisma myśliwskie, zaznaczając to wyjątkowe ubarwienie wilków, twierdzą, że zwykle czarnymi bywają wilki—mieszańce ze skrzyżowania wilka z suką, lub wilczycy z psem.

Po wypadku na polowaniu. W pobliżu Paryża wydarzył się podczas polowania straszny wypadek. Oto rozerwało strzelbę właściciela dóbr, Henryka de Pousset, i poszarpało mu twarz na części. Sądzono początkowo, że młody człowiek został zabity, gdy jednak dawał znaki życia, wezwano pomocy lekarskiej, poczem oddano go do szpitala. Kiedy Pousset odzyskał zdrowie i po raz pierwszy ujrzał swą zmienioną twarz, wrażenie było okropne. Właściwie pozostały tylko oczy i czoło z całej twarzy. W tem rozpaczliwem położeniu przyszedł nieszczęśliwemu z pomocą lekarz z Akademii paryzkiej,

Delaire. Jak przy wstawianiu zębów odbija się w wosku układ szczęki i podniebienia, tak też i w tym wypadku podobną odbitkę zdjęto z twarzy Pousseta i podług niej sporządzono brakujące cześci twarzy w sposób zadziwiająco łudzący. Dolną szczękę zrobiono ze srebra i wstawiono w nią fałszywe zęby. Górną zaś ze złota z pewną mieszaniną kauzcukowej masy, obie zaś przymocowano małemi klamerkami wraz z górną wargą. Prawdziwem arcydziełem sztuki jest nos kauczukowy i górna warga, ozdobiona miękkim, ładnym wąsem. Policzki i dolna część twarzy są również z kauczuku, otoczone bujnym, sztucznym zarostem.

W obronie lisów. Jeden z profesorów niemieckich, dr. Eckstein, przystąpił do badania użyteczności lisów dla rolnictwa i leśnictwa ze względu na to, że tępią one myszy oraz owady. W tym celu rozpoczął analizowanie zawartości żołądka u zabitych lisów. Uzyskał też pozwolenie władz na bezpłatny transport koleją żołądków lisich pod adresem Akademii Leśnej w Eberswaldzie (wydział zoologiczny). W prośbie, ogłoszonej do posiadaczy lisów zabitych o przysłanie żołądków, profesor wyraża też życzenie, aby do żołądka samca dołączono, jako znak dla odróżnienia od suki, „penis" (prącie) i kość penizową.

Polowania na lisy w Anglii są bardzo kosztowne. Przed 50 laty kosztowały rocznie od 14 do 15,000 rubli, obecnie sumę tę należy podwoić, ale i wydatek 35,000 do 40,000 rb. nie jest wyjątkiem. Anglia, razem z księstwem Walii, posiada ze 170 wielkich złai psów na lisy, liczących około 6,000 sfor. Utrzymanie tych psów kosztuje rocznie przeszło 4 miliony rubli. W Anglii i Walii jest około 200,000 koni myśliwskich wartości przeciętciowo około 600 rb., co razem czyni 120,000,000 rb. Na utrzymanie tych koni właściciele wydają około 75,000,000 rb. rocznie.

Wystawy psów w 1907 r. Podług statystyki prasy sportowej w r. 1907 urządzono w Niemczech około 50 wystaw psów z udziałem przeszło 20,000 okazów. Najliczniejsza była wystawa w Hannowerze, która liczyła 1,103 psów, potem idzie Drezno z 1,016 psami. Z psów myśliwskich było najwięcej jamników, bo 1.893, dalej idzie 983 niemieckich psów krótkowłosych, 869 foxterrierów, 414 setterów, 315 niemieckich ostrowłosych, 141 niemieckich długowłosych, 76 posokowców, 53 ogarów i 196 spanielów.

Drogi kot. W Londynie odbywa się obecnie doroczna wystawa kotów, na którą nadesłano ogółem około 500 wspaniałych egzemplarzy ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Przeciętną wartość wystawionego kota szacują na 20 do 40 funtów szterl. Najwyższą cenę osiągnął jednak oryginalny okaz, pochodzenia perskiego, odznaczający się przedziwnie symetrycznym rysunkiem i wspaniałem ubarwieniem włosa w tygrysowate pręgi. Cena ta wynosi 1,000 funtów szterlingów, czyli 10,000 rubli.

Ucieczka lwa. Na ulicach Brukseli odbywało się przed kilku dniami niezwykłe polowanie. Z menażeryi tamtejszej zniknął ogromny lew i błąkał się po ulicach. Przechodnie, przerażeni na widok zwierzęcia, kryli się w bramach domów i w sklepach. Wygłodniały lew rzucił się wreszcie na jakiegoś młodego człowieka i byłby go niechybnie rozszarpał, gdyby nie to, że z pomocą pośpieszyli policyanci. Jeden z nich odważnie zarzucił lwu sznur na szyję, inni celnymi strzałami powalili zwierzę na ziemię.

Najwyższy wiek ptaków. Orzeł, łabędź i kruk mogą dosięgnąć 100 lat; papuga, czapla, gęś i pelikan dochodzą do 50 lat; paw i czeczotka żyje do 25 lat; przepiórka przekracza rzadko 13 lat; drozd i kogut dochodzą niekiedy do 10 lat; mysi królik zaś nie żyje dłużej nad 3 lata.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Psiarnia.

Dobra psiarnia największy honor panu czyni.
Duża psiarnia zje dużego szlachcica.
Kto trzyma psiarnię, trwoni grosz marnie.
Elegant z królewskiej psiarni.
Komin nie wytarty, dom niezawarty, świeca bez latarni, to porządek, jak w psiarni.
Trzy rzeczy w szlacheckiem mieście baczni nagany być godne upatrują: kędy dwór wyższy, niż kościół, karczma okazalsza, niżeli ratusz, psiarnia budowniejsza, niżeli szpital.
Kto ma zbyt tłustą psiarnię i stajnię, te ma chudą oborę.
Zimno, jak w psiarni.

Ptak.

Chce ptaka po powietrzu gonić.
Chyba tylko ptasiego mleka i krupek makowych u niego nie dostaje.
Czuje ptaszek wiosnę.
Fraszki — małe ptaszki.
Frunął ptaszek na swój daszek.
Gdzie ptaki przelatują, tam po sobie piórka zostawują.
I ptak tam ciągnie, gdzie się ulęgnie.
Jaki ptak, takie gniazdo.
Jaki ptaszek, takie piórka; jaka matka, taka córka.
Jednem strzelaniem dwa ptaki ubić.
Każdemu ptakowi swoje gniazdo miłe.
Każdy ptak boi się klatki.
Każdy ptak dla swoich dzieci gniazdo ściele.
Każdy ptak po swojemu śpiewa.
Każdy ptak ma swój smak.
Każdy ptak swe piórka chwali.
Każdy ptak według nosa swego śpiewa.
Każdy ptaszek swoim się noskiem żywi.

(C. d. n.).

Zapytania i odpowiedzi.

Zapytanie Nr. 3.

Kołtun u psa.

Mam trzyletniego szkockiego psa owczarskiego (Collie). Pies jest wybitnym egzemplarzem okazałym swej rasy, duży, silny i prawidłowo rozwinięty. Z żalem jednak zauważyłem, że włos wokoło kryzy na szyi i na ogonie psa splata się w kołtuniki, mocno złączone. Aczkolwiek kąpałem psa conajmniej raz tygodniowo, silnie go namydlając, i czesałem go codziennie, nie mogłem w żaden sposób usunąć kołtuników. Czy Szan. Redakcya może mi co na to poradzić? Niektórzy dali mi radę, żeby te sploty włosów, których już nie można rozczesywać bez przyczynienia psu wielkiego bólu, wystrzydz nożycami tuż przy skórze. Nie wiem jednak, czy to jedyny środek przeciw tej chorobie. Dodać muszę, że uwłosienie ogona i kryzy szyjnej jest miękkie, jak jedwab, uwłosienie zaś grzbietowe jest ostrzejsze. Całe lato psu wychodziły włosy częściowo, a były one bardzo cienkie; wobec jednak bardzo obfitego uwłosienia psa, nie znać było na nim wcale straty wskutek ubytku włosów.

J. B.

Odpowiedź Nr. 3. Opisany przez Szan. Pana wypadek jest dość częstym objawem u psów Collie i pozostaje, zdaje się, w związku z silnem wychodzeniem włosów przez całe lato.

Jeżeli się nie daje rozczesywać kołtuników z początku zapomocą grzebienia, albo, co jest jeszcze lepsze, za pomocą palców psiarka, przyczem należy także usuwać znajdujące się niewątpliwie w znacznej liczbie włosy ledwie się trzymające, które już mają zepsute cebulki — to zostaje tylko wystrzyżenie kołtuników przy pomocy nożyczek. Tworzeniu się nowych kołtuników zapobiegamy starannem, lecz bardzo ostrożnem rozczesywaniem codziennie. Można także używać ostrego mydła, przesyconego dość obficie ługiem; sprzedają nawet takie specyalne „mydło dla psów;" trzeba jednak bardzo oględnie z niem

się obchodzić, posługując się najsłabszym gatunkiem w nieznacznej ilości i pilnując uważnie, żeby resztki nie zostały na skórze, którą też powinno się spłókiwać wodą czystą bardzo starannie. O ile skóra w tych miejscach zacznie się łuszczyć, to już trzeba koniecznie psa ostrzydz całego, przestrzegając, aby nie wychodził na chłodne powietrze. Gdyby zaś zauważono podejrzane zmiany na skórze, to trzeba się koniecznie udać z psem do weterynarza.

Dr. K.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Rzewuskiemu w Woli Sobieskiej. Prosimy o listowne doniesienie nam, jak imię Sz. Pana i do której stacyi pocztowej mamy wysyłać nasze pismo? Jakiś księgarz zaprenumerował „Łowca Polskiego" przez księgarnię Gebethnera i Wolffa na kw. I dla Sz. Pana, i miejscowość podał zamiast stacyi pocztowej i dlatego „Łowca Polskiego" dotąd nie posłaliśmy. Może tą drogą prędzej się porozumiemy.

Panu A. P. w Zawadyńcach. Pigułek Walewskiego nie znamy. Szczegółowy opis trucia lisów znajdzie Sz. Pan w dziełku J. Biesiekierskiego p. t. „Kuropatwa szara, czyli pospolita."

Treść Nr. 3 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.